



Urzeczeni Waranasi niechętnie pakowaliśmy plecaki, by ruszyć w dalszą drogę. Ale jak mus to mus. Autokar miał na nas czekać GDZIEŚ w Waranasi i trzeba było do niego dojść, co w upale, z jakim tu mamy do czynienia od rana, nie było łatwe. Z hotelu Pujdza wyszliśmy o 8ej i dreptaliśmy gęsiego wąskimi uliczkami starego Benares... z każdą minutą było ciężiej. A autokaru jak nie widać tak nie widać. Po grzyba autokar skoro już jesteśmy jakoś w połowie drogi do Allahabadu??? – pytał ktoś za mną. Nie no... żarcik taki, ale wtedy nie śmieszyl. W końcu doszliśmy do pojazdu, którymi mieliśmy podróżować przez następne trzy dni. A może cztery? Tak to jest z czasem na wyprawie. Bo szczęśliwi czasu nie liczą, więc i nam od początku pobytu tutaj mieszają się dni tygodnia i daty w kalendarzu. Nawet Kumar czasem pytał jaki dzień dzisiaj mamy? Piątek? Sobotę? Tylko datę wylotu do Polski wszyscy pamiętają i jak na razie wypierają z pamięci.

No ale my tym wspomnianym wcześniej autokarem ruszyliśmy do Allahabadu i jak tylko kierowca odpalił, Kumar oznajmił, że postanowił wzbogacić plan naszej podróży przez Indie o dwa nowe miejsca i w związku z tym będziemy w Jaunpurze i Faizabadzie.

W Jaunpurze byliśmy już w dwie – trzy godziny po odpaleniu silnika. W tym niewielkim mieście w stanie Uttar Pradesh było co zwiedzać. Zobaczyliśmy więc wspaniałe meczety, pozostałości dawnego fortu i malowniczy XVIwieczny most Shahi Bridge nad rzeką Gomti, którego każde przesło zdobi niczym kolorowa parasolka mały krągły daszek wparty na kolumnkach. Jaunpur, mimo że jest małym jak na Indie miastem, o tyle dał się nam we znaki, że przeszliśmy je pieszo, może i nie wystawieni na słońce, które skryło się za chmurami, ale w upale i przy wilgotności sięgającej stu procent. Pot spływał nam cienkimi strużkami po plecach. Woda, wypijana tu litrami, nie chłodziła i pomagała na chwilę. Nim ruszyliśmy w stronę Allahabadu nakupiliśmy bananów, kawałków orzechów kokosowych, samos, a Szafa ciastek i zjedliśmy lunch.

Allahabad to drugie najstarsze miasto w Indiach, odgrywające szczególną rolę w pismach hinduskich. Wspomniane jest na przykład w Wedach jako Prayag, czyli Miejsce Ofiar. Pierwotnie nazywany Kaushambi, przez cesarza Akbara przemianowany został na Ilahabad, a Brytyjczycy zmienili tę nazwę na Allahabad (co oznacza Miejsce Boga) i tak zostało. Co chyba najważniejsze dla Kumara – geografa, Allahabad do punkt konfluencji Gangesu, Jamuny i podziemnej rzeki Saraswati. W miejsce Sangam, tj, zbiegu rzek, na Kumbh Mela, Ardh Mela i Magh Mela, czyli rytualne kąpiele każdego roku przybywają tłumy pielgrzymów.

My oczywiście załadowaliśmy się do łódek i wypłynęliśmy na Sangam, ale też widzieliśmy fort Wielkich Mogołów, który jest nieopodal... jednak nie było nam dane zobaczyć go od wewnątrz, ponieważ stacjonuje w nim wojsko, jest obiektem chronionym i nieudostępnianym zwiedzającym. Weszliśmy jedynie do podziemnej świątyni Patalpuri, poświęconej wielu bogom, która jest na terenie fortu, a w której najważniejsze są... odsłonięte korzenie Wiecznie Żywego Drzewa Banyan, z którego niegdyś skakali pątnicy, by umrzeć i uwolnić się od reinkarnacji. W Allahabadzie zobaczyliśmy także Khusru Bagh, czyli cztery imponujące grobowce z czasów Wielkich Mogołów oraz Anand Bhavan – rezydencję rodziny Nehru, która wydała pięć pokoleń czołowych polityków. Dom, położony w pięknym parku, przekształcony obecnie na muzeum, jest miejscem, w którym Jawaharlal Nehru i Mahatma Gandhi zaplanowali i przeprowadzili obalenie rządów brytyjskich w Indiach. Tu też dorastała wielka



Indira Gandhi. Współcześnie w wielu publikacjach Allahabad określany bywa mianem miasta premierów, ponieważ aż siedmiu premierów Indii, od czasów odzyskania przez nie niepodległości, urodziło się albo było mocno związanych z tym miastem.

My natomiast po czasie spędzonym w Allahabadzie ruszyliśmy w dalszą drogę. Do zaplanowanej w programie wyprawy Ayodhii i nieplanowanego Faizabadu.

Oj Ayodhię to ja zapamiętam... wrrrr. Wiedziałam, że to miasto jest bardzo ważne dla wyznawców hinduizmu, bo miał się w nim urodzić Rama i że doszło tu jakiś czas temu, a dokładnie w 1992 roku, do krwawych strac religijnych pomiędzy hindusami i muzułmanami, ale nie wiedziałam jak szczegółowej kontroli zostaniemy poddani my - podróżujący, w związku z tym, co kiedyś w Ayodhii miało miejsce. Po zburzonym w czasie starc meczecie, który stał w miejscu dawnej świątyni upamiętniającej narodziny hinduskiego boga, nie zostało prawie nic, ołtarzyk poświęcony Ramie, osłonięty jest blachą falistą i jakimiś szmatami. No a żeby to zobaczyć musieliśmy w pierwszym z pięciu punktów kontroli zostawić dosłownie wszystko, czyli plecaki, osobno telefony, aparaty i kamery, karty sim, jeśli ktoś miał z polskiego telefonu, zegarki...WSZYSTKO. Opróżnialiśmy więc podręczne bagaże stojąc w pełnym słońcu i licząc sprzęt. A potem były kolejne kontrole - w sumie w czterech punktach na drodze do miejsca kultu. Oddzielnie panowie i my. Panie z ochrony zaglądały nam do szaszetek z pieniędzmi i paszportami i wywalały wszystko, co się w nich znalazło dodatkowo, czyli na przykład małe plastikowe puzdreczko na łańcuszek i... tampony na wszelki babski wypadek. A potem szliśmy w klatkach kilka minut do tego ważnego historyczno-religijnego miejsca obserwowani przez żołnierzy i... mały. Że żadne z nas nie przypląciło tego udarem to prawdziwy cud. Podjechaliśmy jeszcze w tej Ayodhii do dwóch innych świątyń hinduistycznych (z których jedna jest w budowie), ale oglądaliśmy je już bez dodatkowych „atrakcji”. No nie będzie to moje ulubione miasto indyjskie... a nocowaliśmy w Faizabadzie, w którym są grobowce żon dawnych nawabów księstwa Oudh. No więc zwiedzaliśmy grobowiec Bahu Begum, Gulab Bari... spokojnie i bez zadyszki. No może raz jeden na chwilę nas spięło, kiedy zwiedzając wspinały grobowiec żony niegdysiejszego tutejszego księcia, zobaczyliśmy dumnie spacerującego alejkami ogrodu emu, a potem drugiego... Ptaszyska oczywiście zostały przez nas obfotografowane, ale nie wzbudzały zaufania. Kumar, który nie rozstaje się z aparatem i kamerą, oczywiście zakradał się w kierunku ptaszyska a to głupie stworzenie, nie bacząc, że ma do czynienia z DYREKTOREM, nerwowo wyciągało głowę, żeby skubnąć. Oba ptaki zerkały groźnie, stroszyły piórka, trzepotały skrzydłami i podbiegały to tu to tam... czasem w naszym kierunku, więc instynktownie uciekaliśmy, zapominając, że emu potrafią rozwinąć prędkość skutera i możemy sobie uciekać... na szczęście miejscowi, odważnie łapiąc za karki big nieloty, przeganiali je od nas na bezpieczną odległość. Wkrótce też pożegnaliśmy Faizabad i pojechaliśmy do Lucknow, ale o tym potem...